Z dziejów rodu Tyszkiewiczów. Wielkanoc na Żmudzi.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze. W środku, oszklony Ogród Zimowy z egzotycznymi roślinami.

Na Żmudzi życie toczyło się ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie.

„Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsze dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosołu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cielęca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta.

Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktylowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa… Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na co dzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwintna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.



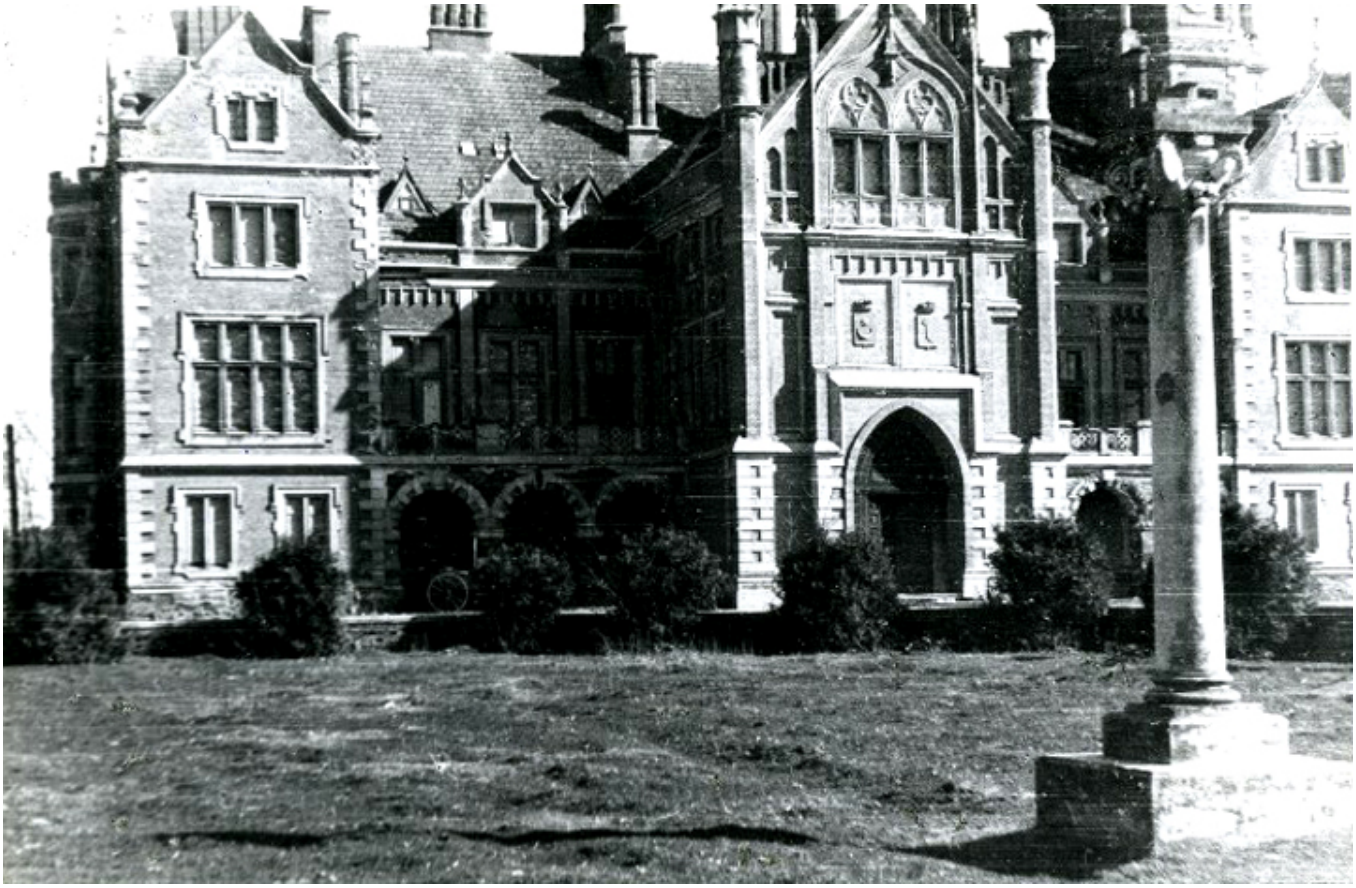
Ogród Zimowy przy pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze.

***

Józef hr Tyszkiewicz (1835-1891**),** syn Józefa i Anny z Zabiełłów urodził się, podobnie jak starsi bracia, w Łohojsku, rozległych dobrach na Białorusi. Wcześnie stracił rodziców, prawie ich nie pamiętał. Pewnie po dziadku Michale, pułkowniku, odziedziczył bujną fantazję, temperament czasów saskich i szeroki gest, a że już od najmłodszych lat zdradzał zamiłowanie do służby wojskowej, więc oddano go do Korpusu Paziów w Petersburgu. Gdy ukończył naukę przydzielony został do Szumskiego Pułku Huzarów, jako adiutant generał-gubernatorów Bibikowa, a potem Nazimowa. Po ojcu otrzymał dużą fortunę, co pozwoliło mu realizować marzenia, oddawać się wielkiej miłości do koni, no i prowadzić niezwykle barwne i bujne, jak na owe czasy, życie. Odziedziczył dobra Izabelin w powiecie oszmańsko-wilejskim, Kojrany, Guszławki, Połągę na Żmudzi, która była jeszcze wówczas mało odwiedzaną wioską rybacką i inne wielkie latyfundia. Poza tym on i jego bracia, otrzymali od stryja Jana, I ordynata birżańskiego, po jednym milionie rubli, co było sumą nie małą. W roku 1855, od dwóch córek marszałka Dąbrowskiego, młody hrabia kupił majątek Landwarowo, położony niedaleko Wilna.

Po zainstalowaniu się w zameczku, w swojej nowej siedzibie, mógł hr Józef swobodnie prowadzić ruchliwe i bardzo towarzyskie życie, między Landwarowem, a Wilnem, gdzie

wzywały go obowiązki służbowe. Jako wysokiej rangi oficer skorzystał z przydziału dwudziestu pięciu żołnierzy kawalerzystów – Kozaków. Towarzyszyli mu oni we wszystkich wyprawach, podróżach i przygodach wynikających z bujnego temperamentu, fantazji i pomysłowości. Pozwolił im zabrać na Litwę swoje żony, w wyniku czego miał w Lanwarowie jeszcze dwadzieścia pięć dorodnych Kozaczek, co tworzyło już niemały zastęp oddanych mu ludzi, zdolnych przyjść z pomocą w różnych sytuacjach. Nie raz przecież musiał stoczyć różne większe i mniejsze bitwy, jak chociażby z dwudziestoma bandytami pod Górą Ponarską. Jak to oficerowie w wojsku, co jakiś czas bijatyka, a co jakiś pijatyka. Raz tak się upił, że służba znalazła go leżącego w rynsztoku i odprowadziła do domu. Bardzo było mu potem wstyd, złożył więc mocne postanowienie, że do końca życia do ust kieliszka nie weźmie. Innym razem w Landwarowie, dla zabawy zorganizował z wielkim rozmachem popisy przed gośćmi tzw. „dżigitowkę” czyli skakanie przez bryczki. Czyżby czasy i fantazja Kmicica na Litwie wcale się nie skończyły?



Pałac w Landwarowie, fot. S. Łukasiewicz, 1939 r.

Szeroko komentowanym wybrykiem młodego adiutanta gubernatora, była słynna sprawa z końmi. Chcąc sobie ułożyć życie w Wilnie, kupił w Petersburgu trójkę wspaniałych „rysaków", którymi jeździł po mieście. Cały ten ekwipaż wzbudzał nie lada sensację. Nazimow nie był z tego powodu zadowolony i nakazał Tyszkiewiczowi konie odesłać na wieś. Z braku koni młody hrabia z nie lada fantazją, najął... trzech brodatych, rosłych mężczyzn i sowicie im zapłacił. Po czym zaprzągł ich w trójkę do sań. Jednego z rudą brodą w środku, dwóch z czarnymi brodami po bokach. I tak jeździł po Wilnie. Wtedy nie skończyło się na lekkim upomnieniu, tylko już większej naganie.

Generał-gubernator Nazimow wyraźnie lubił Tyszkiewicza. W duchu to nawet podobała mu się ta polska fantazja. Przymykał więc oko na wiele rzeczy i starał się go chronić. Tak było w przypadku sprawy z zaprzęgiem. Hr Józef, jako wojskowy, posiadał w Landwarowie zaprzęg rosyjski. Niezmiernie raziło to uczucia narodowe jego młodej narzeczonej, wielkiej patriotki. Chcąc więc jej zaimponować, wymyślił niespodziankę. Kazał wyszykować zaprzęg krakowski. Przebrał furmana i służącego na koźle w strój krakowski i pojechał po narzeczoną. Podczas, kiedy zaprzęg czekał na ulicy, policja zobaczyła zakazane przecież polskie stroje, służący i furman zostali więc aresztowani i wychłostani. Kiedy hr Tyszkiewicz to zobaczył, wściekłość jego nie miała granic. Jakim prawem karana jest służba. Ja to zrobiłem, to był mój pomysł i moje ryzyko i tylko ja powinienem ponieść konsekwencje. Pobiegł szybko do Nazimowa, zerwał odznaki wojskowe i wraz ze szpadą rzucił mu pod nogi. Oznajmił, że pod takim rządem to on nie ma zamiaru służyć, po czym wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Przez kilka dni czekał, co z tego wyniknie. Wiedział, że grozi mu sąd wojskowy i kara śmierci. Nazimow jednak niczego nie potwierdził. Nawet, gdy został wezwany do Petersburga, bo i tam wieść doszła o wyczynie Tyszkiewicza, kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, twierdząc, że gdyby taka rzecz faktycznie się zdarzyła, to adiutant już byłby rozstrzelany.



Józef Tyszkiewicz i Zofia z Horwattów, fot. Wikimedia Commons.

Ponieważ nie zanosiło się, że młody Tyszkiewicz sam z siebie się ustatkuje, rodzina, stryjowie i starsi bracia postanowili go ożenić. Zaczęto szukać dla niego odpowiedniej rodziny, mającej aktualnie córkę na wydaniu. Wybór padł na Horwattów, dość

blisko spokrewnionych z Tyszkiewiczami. Wybrano odpowiednią porę i wysłano hr Józefa do pięknie położonego na Polesiu nad Prypecią Barbarowa. Skierowano go do najmłodszej Zofii, *bardzo miłej, choć wcale niełądnej panny.* Młody hrabia był przerażony. Jak dotąd na niełądne panny uwagi nie zwracał. Długo się wahał. Rodzina była więc wyrozumiała i dała młodym trochę czasu, żeby się poznali. Zofia miała tak pogodne usposobienie i tyle dobroci, że w końcu Tyszkiewicz dał się namówić. Ślub odbył się w 1861 roku w Barbarowie w pięknym i ogromnym pałacu, urządzonym z wielkim przepychem i gustem. Po wszystkich niezwykle wzniosłych uroczystościach, młodzi udali się do Landwarowa, a potem do Paryża.

Józef wychowany bez rodziców, uczący się w szkołach rosyjskich, nie był aż tak negatywnie nastawiony do zaborców, co teściowie. Miał przyjaciół wśród Rosjan, z którymi dorastał, służył w rosyjskim wojsku. Żona natomiast z domu wyniosła wielki patriotyzm i pragnęła stworzyć polską, katolicką rodzinę. Raziło ją bardzo, że mąż bez problemu nosi rosyjski mundur i jeździ *trójką z kuczerem po rosyjsku ubranym*. Miała jednak nadzieję, że są to tylko powierzchowne przyzwyczajenia i z czasem, pod jej wpływem się zmienią. Miała rację, hr Tyszkiewicz zdecydował się wystąpić z wojska. Dał też znaczną sumę pieniędzy na zakup broni dla powstańców, mimo tego, że był zdecydowanie przeciwny niepotrzebnemu rozlewowi krwi i represjom. I jak przewidywała rodzina po ślubie się ustatkował.



Pałac w Landwarowie od frontu, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Tyszkiewiczowie zamieszkali najpierw w Landwarowie. Ze względu na bliskość węzła kolejowego rezydencja oprócz „zwykłych” gości, rodziny i sąsiadów, przeżywała istne naloty krewnych, kuzynów i dalszych znajomych. Pociągi jeździły wówczas rzadko, czasami i tydzień trzeba było czekać na przesiadkę. Jechano więc do Tyszkiewiczów, gdzie czas szybko płynął i z tygodnia robił się nie wiadomo kiedy miesiąc. Nic więc dziwnego, że po 10 latach takiego życia hr Zofia, mimo staropolskiej gościnności, miała już serdecznie dosyć tych nieustających i nie kończących się wizyt. Postanowiono przenieść swoją siedzibę, jak najdalej od węzła kolejowego. Fantazja hr

Józefa pognała od razu daleko, za morze. Rozważany był wyjazd za granicę na stałe. Złożyło się na to wiele przyczyn, a przede wszystkim rosyjskie represje po powstaniu styczniowym i ciągłe nowe prześladowania w Wilnie. Donoszono, że wyszedł zakaz mówienia po polsku na ulicy i w miejscach publicznych. Podobno córka generał-gubernatora Kachanowa zadenuncjowała krawcową, ponieważ do pomocnicy odezwała się po polsku. Hrabia Tyszkiewicz stwierdził więc, że sprzeda wszystkie majątki, zabierze dzieci ze szkół i całą rodziną wyemigrują.

> Ja wiem, że strasznie będę tęsknić za krajem – mówił – ale moje dzieci będą tam już wychowane, inaczej będą się czuły, nie będą pariasami, tak jak tutaj. Moim obowiązkiem jest poświęcić się dla nich.

Zaczęło się studiowanie map, dyktowanie listów dla zebrania informacji. Hr Józef starał się dobrać kraj o podobnej przyrodzie i warunkach klimatycznych. Wybór padł na Kanadę. Hr Zofia przeciwna była wyjazdowi. Uważała, że żadne prześladowania ich nie zrusyfikują, ani nie zgermanizują, a obowiązkiem każdego Polaka jest trzymać się swojej ziemi. Po dyskusjach, głębszym namyśle i namowach żony, hr Józef zrezygnował z wyjazdu do Kanady. W 1870 roku kupił od generał-gubernatora wileńskiego, hr Zubowa majątek Kretynga, położony niedaleko odziedziczonej Połągi i tam postanowiono przenieść swoją główną siedzibę.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Źródło:

Helena z Tyszkiewiczów Ostrowska, Wspomnienia, maszynopis, arch. Hanny i Adama Tyszkiewiczów, Los Angeles.

O rodzinie Tyszkiewiczów na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/choinka-w-zimowym-ogrodzie/

http://www.cultureave.com/nie-ma-nic-wiecznego-na-tej-ziemi/

Wielkanoc. Korzenie tradycji.



Włodzimierz Wójcik

Minęła Niedziela Palmowa. Przed nami Święta Wielkanocne, będące najpierw znakiem bezgranicznego cierpienia, a potem symbolem Zmartwychwstania, odradzania się, tryumfu życia nad śmiercią. Okoliczności sprzyjają więc refleksji i wspomnieniom. Ten klimat przedświąteczny łączy w zasadzie wszystkich – zarówno głęboko wierzących, jak też i tych, którzy są mniej aktywni w odbywaniu praktyk religijnych. Tradycja – wspaniałe spoiwo łączące naród – odgrywa i w tej dziedzinie istotną rolę.

Wielkanoc znaczona jest wiosenną aktywnością przyrody; pojawiają się złociste mlecze, na łąkach pękate główki żółtych kaczeńców; na miedzach, w parkach i w lasach pęcznieją wierzbowe kotki, które – wraz z gałązkami – są przecież swoistym ekwiwalentem południowych palm. To wiosenne święto kojarzy się także z nieprzebraną gamą zapachów płynących z gospodarstw domowych. W okresie Wielkiego Postu mięs nie jadano, ale pracowicie i niezwykle precyzyjnie przygotowywano na same święta wyroby wędliniarskie. W sadach przydomowych godzinami dymiły wędzarnie, w których palono drewnem drzew owocowych, aby kiełbasy czy szynki cudownie i apetycznie pachniały i miały złocisto-brązowy kolor. Tej zasady pilnowano jak oka w głowie. Pracowały – usytuowane przeważnie w sieniach – chlebowe piece, którymi zarządzały zwykle babcie – fenomenalne znawczynie procesu najpierw tak zwanego „zarabiania”, a potem wypiekania. Zapachy idące z pieca chlebowego, unoszące się nad podwórkami, nawet nad łąkami,

nie mogą być zapomniane. Nie sposób pomyśleć o Wielkanocy bez tradycyjnych bab różnego kształtu, koloru, smaku. Baby wielkanocne – to prawdziwy rarytas. I słynne mazurki. Wielokolorowe, formowane w pomysłowe wzory pisanki; ze łzami tarte laski chrzanu z domowego ogrodu, dziesiątki innych łakoci, bez których nie można było się wybrać z koszyczkiem wiklinowym do kościoła… O tych wszystkich doznaniach dzieciństwa i młodości – obrazach, zapachach, smakach – myślę dzisiaj, w świecie już nieco zurbanizowanym i zunifikowanym, poddanym – co jest zrozumiałe – naturalnym przeobrażeniom. Myślę też o tych minionych już latach, kiedy to dawno, w klimacie przedświątecznych krzątanin, wraz z ojcem odwiedzałem rodzinę i przyjaciół wędrując – na zasadzie „wpadnięcia na chwilę” po jakiś drobiazg – po Łagiszy, Będzinie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Grodźcu, czy Czeladzi. Dziś ten obszar nazywam za Broniewskim „najbliższą Ojczyzną”. W czasie tych krótkich wizyt prowadziło się familijne negocjacje. Trzeba było przecież wyraźnie ustalić, u kogo gościmy się w pierwszy dzień świąt, u kogo zaś w dzień drugi, przebiegający zwykle pod znakiem śmigusu… W Wielką Niedzielę spędzało się zazwyczaj czas z rodziną najbliższą. To była pewna zasada. W gronie rodziców, dziadków, cioć i wujów zasiadało się do stołów, które kusiły wieloma barwami, smakami i zapachami. Tradycyjne jajka były najważniejsze, gdyż one właśnie stanowiły naturalną przyczynę składania sobie życzeń. Dzielenie się święconym jajkiem, barwinek na lnianym obrusie, pierwsze kwiaty wiosny w

przezroczystych wysokich wazonikach, lukrowane baranki – to wszystko wraca we wspomnieniu jak żywe…

W lany poniedziałek rygory już nie istniały. Dorośli zwykle mieli swoje sprawy, dzieciaki raczej hasały do woli, cieszyły się wiosną, swobodą i czekały na taką pogodę, aby jak najszybciej móc biegać po łące „na bosaka". Przypominam sobie śmigusówki – wąskie i wysokie butelki z pachnącą wodą kolońską… Byle czym w zasadzie nikogo nie kropiono.

Wiadra z wodą ze studni czy strumienia wchodziły oczywiście w grę. Chłopcy polewali zaprzyjaźnione dziewczęta, swoje rówieśnice, w klimacie radości i przyjaźni. Nie do pomyślenia było jednak atakowanie wodą przygodnych przechodniów ubranych wizytowo. Nie pisane nigdzie normy postępowania ściśle obowiązywały. Może do tych zasad warto byłoby wrócić. Radosny żywioł z pewną elegancją zachowania się można przecież całkiem łatwo pogodzić…

Każdy z nas, kto we wspomnieniach dzieciństwa i młodości odnajduje – w momencie refleksji i skupienia – tego rodzaju obrazy, a więc jest wyposażony w swego rodzaju zasób tradycji, może się uważać za człowieka bogatego. Wówczas dobrze wie, skąd pochodzi, z jakich korzeni wyrasta. To, co w tej tradycji wspólne dla wszystkich Polaków – łączy nas ze sobą. Zaś to, co jest różne, a więc charakterystyczne dla jakiegoś regionu

wyłącznie, wzbogaca wszystkich, czyni życie barwniejszym i ciekawszym. Z posagiem tradycji łatwiej jest iść ku przyszłym dniom i latom. Łatwiej też znosić przeciwności losu… A przecież takie przeciwności są także naturalnym składnikiem kondycji ludzkiej… Nic na to się nie poradzi. Warto jedynie przeczytać cztery wersy utworu Jana Twardowskiego O wielkanocnym poranku:

> Poranek wielkanocny wszystko poprzemieniał,
>
> nie ma więcej cmentarza, grobu i kamienia.
>
> Świat stał się samym światłem i wprost w okna świeci,
>
> skacze złotym zajączkiem w dobre ręce dzieci. […]



Muzeum Ludowe w Sromowie



Muzeum Ludowe w Sromowie, fot. malby

Maria Wichowa

W odległości 10 km od Łowicza, jadąc w kierunku Warszawy, dostrzega się tablice informacyjne o Muzeum Ludowym w Sromowie. Można je zwiedzić planując jednodniową wycieczkę w okolice Arkadii, Nieborowa oraz Żelazowej Woli. Jest to prywatne muzeum założone i prowadzone przez rodzinę Brzozowskich. Zawiera bogate zbiory sztuki ludowej z okolic Łowicza. Miejscowa ludność, łowiccy Księżacy wytworzyli oryginalną

kulturę własną, którą do dziś podtrzymują.

Sztuka ta, wywodząca się bezpośrednio z prostych, elementarnych praw kształcenia artystycznego, respektuje je uwzględniając lokalną tradycję. Sztuka ludowa jest i musi pozostać prymitywną, gdyż taki charakter mają dwa jej źródła: najprostsze zasady kształtowania dzieła artystycznego i prymitywizm potrzeb artystycznych odbiorcy. Prymitywizm w sztuce nie jest jednak zjawiskiem pejoratywnym, jest raczej określeniem kierunku dopiero powstającego, a więc jeszcze niezłożonego, występującego w swym elementarnym, prostym kształcie, świeżego w nowych wartościach. Jest to twórczość artystyczna powstająca żywiołowo, wypływająca z najbardziej pierwotnych potrzeb estetycznych człowieka, który nie ulegając żadnym wpływom „uczonych" teorii estetycznych, w sposób bezpośredni i instynktowny daje wyraz temu, co czuje on jako jednostka należąca do swego kręgu kulturowego.

Sztuka ludowa jest wspólnym dobrem i wytworem artystów i środowiska, a więc dostosowana do jego pojęć i potrzeb oraz wyposażona w system form, zasad kompozycji i innych czynników artystycznych w tym kręgu zrozumiałych i ogólnie dostępnych. Zaspokaja ona potrzeby estetyczne ludu, pełni więc rolę służebną, a jednocześnie obrazuje smak artystyczny i gust odbiorców z tego kręgu kulturowego. Nawiązuje do tradycji, szanuje ją, a jednocześnie przetwarza, zmienia i przeobraża

powodując, że kultura ludowa nie obumiera.

Dla sztuki ludowej bardzo ważny jest ścisły związek z życiem społeczności wiejskiej, z którą jest przecież złączona różnymi więzami. Ogromne znaczenie mają tu obyczaje, prastare tradycje obrzędowe przekazywane z pokolenia na pokolenie, co widoczne jest w strojach, w sprzętach, w budownictwie. Odbiorcy sztuki odgrywają ważną rolę w powstawaniu przeznaczonego dla nich dzieła. Wyroby artystów ludowych w przeważającej mierze mają charakter użytkowy, zaś ich działalność kreacyjna podbudowana jest bezinteresowną radością tworzenia dla siebie i dla otoczenia.



Muzeum Ludowe w Sromowie

Taką postawę prezentowali założyciele muzeum – Julian i Wanda Brzozowscy. Julian żył w latach 1925–2002. Gospodarował na 10 ha ziemi, a w wolnych chwilach rzeźbił w drewnie. Kultywował tradycję rodzinną, bowiem jego wuj Stanisław także był rzeźbiarzem, a matka Franciszka była znaną wycinaczkarką, hafciarką, robiła także słynne łowickie pająki – wiszące ozdoby sufitów. Julian rozpoczął swą działalność artystyczną w połowie lat pięćdziesiątych. Nie od razu tworzył rzeźby z myślą o powołaniu muzeum. Gromadził swe dzieła w mieszkaniu, z biegiem czasu musiał je umieszczać w garażu, wreszcie pobudował specjalne pawilony. Obecnie zbiory mieszczą się w czterech pawilonach.

Pierwszy z nich oddano dla zwiedzających w roku 1972. Umieszczono w nim ponad 400 rzeźb poukładanych w sceny rodzajowe. Tak więc wyeksponowano bożonarodzeniową szopkę, następnie procesję na Boże Ciało, wesele łowickie, jadących na rowerach itd. Większość tych figurek porusza się dzięki skonstruowanym przez Juliana mechanizmom. Pawilon ten ozdobiony jest kilkunastoma pająkami wykonanymi przez Wandę Brzozowską (1931-2003), żonę założyciela muzeum, artystkę ludową, wykonującą również wycinanki i kwiaty z bibuły.

Następne pokolenie Brzozowskich przejęło uzdolnienia artystyczne Juliana i Wandy. Córka – Maria Brzozowska-Kosińska współpracowała z rodzicami malując figurki i widoki wokół

ruchomych scen, a przez cały czas wykonuje wycinanki, charakterystyczne dla regionu, tzw. łowickie. Odznaczają się one wielobarwnym, malarskim charakterem oraz motywami i tematem. Rzadko pojawia się abstrakcyjny ornament, najczęściej występują różnokolorowe kwiaty i sceny z udziałem postaci. Kwiaty wypełniają zazwyczaj koliste „gwiazdy” i wstęgowe „tasiemki”, podczas gdy „ludziki” pojawiają się w paskowych „kodrach”, dawniej przedstawiających głównie wesele, współcześnie różne sceny z życia wsi.



W drodze na targ, Muzeum Ludowe w Sromowie, fot. malby

W zakresie rzeźby dzieło ojca kontynuuje Wojciech Brzozowski.

Wykonuje drewniane figury, zajmuje się konserwacją i naprawą poruszających się urządzeń, gromadzi i przywraca do pierwotnej postaci stare pojazdy konne, narzędzia rolnicze, pierwotne maszyny ręczne, np. sieczkarnie, młynki do oczyszczania ziarna itp. Jego żona zajmuje się wytwarzaniem ozdobnych pająków, odnawia te, które kiedyś wykonała Wanda oraz robi nowe według własnej koncepcji.

Również trzecia z rodzeństwa Brzozowskich, Ewa Zarost, eksponuje swe prace w muzeum. Jest ona hafciarką, wystawia swe dzieła wykonane haftem krzyżykowym.

W drugim pawilonie Brzozowscy zgromadzili oryginalne stroje ludowe z okolic Łowicza, meble ludowe (skrzynie, kredensy), pająki, wycinanki, obrazy oraz eksponują ruchomą scenę – cztery pory roku. W pozostałych dwóch pawilonach pokazana jest kolekcja pojazdów konnych pochodzących z okolic Łowicza, w sumie 35 eksponatów, wśród nich wolanty, pojazdy czterokołowe na resorach, bez budy, używane jeszcze w I połowie XX wieku, bryczki, sanie i wozy chłopskie w różnych wariantach: drabiniaste, z krypą, półkoszki, wasągi. Zgromadzono także różne odmiany końskiej uprzęży, dawne urządzenia i maszyny rolnicze. Pawilony muzealne usytuowane są na tle zieleni, niezwykle pielęgnowanych rabat kwiatowych, obsianych starannie dobranymi, typowymi dla regionu odmianami.

Zbiory, gromadzone latami przez rodzinę artystów ludowych i zarazem miłośników sztuki i tradycji ludowej, stanowią świadectwo oryginalności kultury tzw. łowickich Księżaków, są ze wszech miar godne obejrzenia. Słusznie są powodem dumy założycieli muzeum i kontynuatorów ich dzieła.

Nieodgadnięte



Florian Śmieja

NIEODGADNIĘTE

Nieodgadnięte stale nas pociąga.

Jego sekrety łudzą nas odkryciem

szczęśliwszą chwilą, w sprzyjającym czasie

w podatnym zaułku życia, egzystencji

niespodziewanej, w wymiarze istnienia

magicznego, upiornego bytowania.

Fantom to czy zatracenie, zagłada

dla śmiałków prących do plus ultra,

choćby złudzenia, że non *omnis moriar*?

OBUDZENIE

Kiedy się rano obudzisz

i w rodzącej się poświacie

zamajaczą pierwsze kształty

sprawdź swoją tożsamość,

Upewnij się, że jesteś

suwerennym bytem

jednostką integralną

autentycznym podmiotem

o świadomej egzystencji.

Dopiero potwierdzenie tych

witalnych kwerend

da ci glejt do fedrowania.

SWOJSKOŚĆ

Mój kanadyjski dom w ludnym Ontario

nabył z latami znamiona swojskości.

Z frontu przyjaźnie wita rosła lipa

a w tyle cieszy jarzębina z brzozą.

W okresie godów zabrzmi kolędami

i imieniny obchodzi corocznie

nie poważane zupełnie w tych stronach.

Czerwony barszcz gości na jego stole

pojawia się opłatek i kraszanka.

Tylko brakuje na gnieździe bociana

a św. Florian nie strzeże od ognia.

TERAZ

Ginie nam nasze Teraz bezpowrotnie

w technologicznym rozgardiaszu.

Wprawdzie klną się zapaleni kamerzyści

że zachowali ciągi fotografii

szeregowanych w albumach

których nikt nie zechce oglądać.

Wspominaliśmy wczoraj,

mamy plan na jutro.

Tylko teraz nam przepadło

w gąszczu cyfryzacyjnych połączeń

zapodział się bliski sąsiad

zmarginesował żywy człowiek.

Nie sposób znaleźć dla niego

przestrzeni na rozmowę czy refleksję.

Uwikłani w cybernetycznej sieci

pilnie potrzebujemy lekarstwa

na zanik rzeczywistości.

PROCHY

Chciałbym, by moje prochy

powróciły do swoich,

spoczęły na gminnym cmentarzu

wśród braci i rodziców.

Błąkałem się po świecie,

czas już się ustatkować

i ziemi rodzinnej powierzyć ostatki.

Nie będę sechł na amen

w wietrznym pawilonie,

ani stanowił piędzi golfowiska,

bo mnie nie znajdą w Zaduszki,

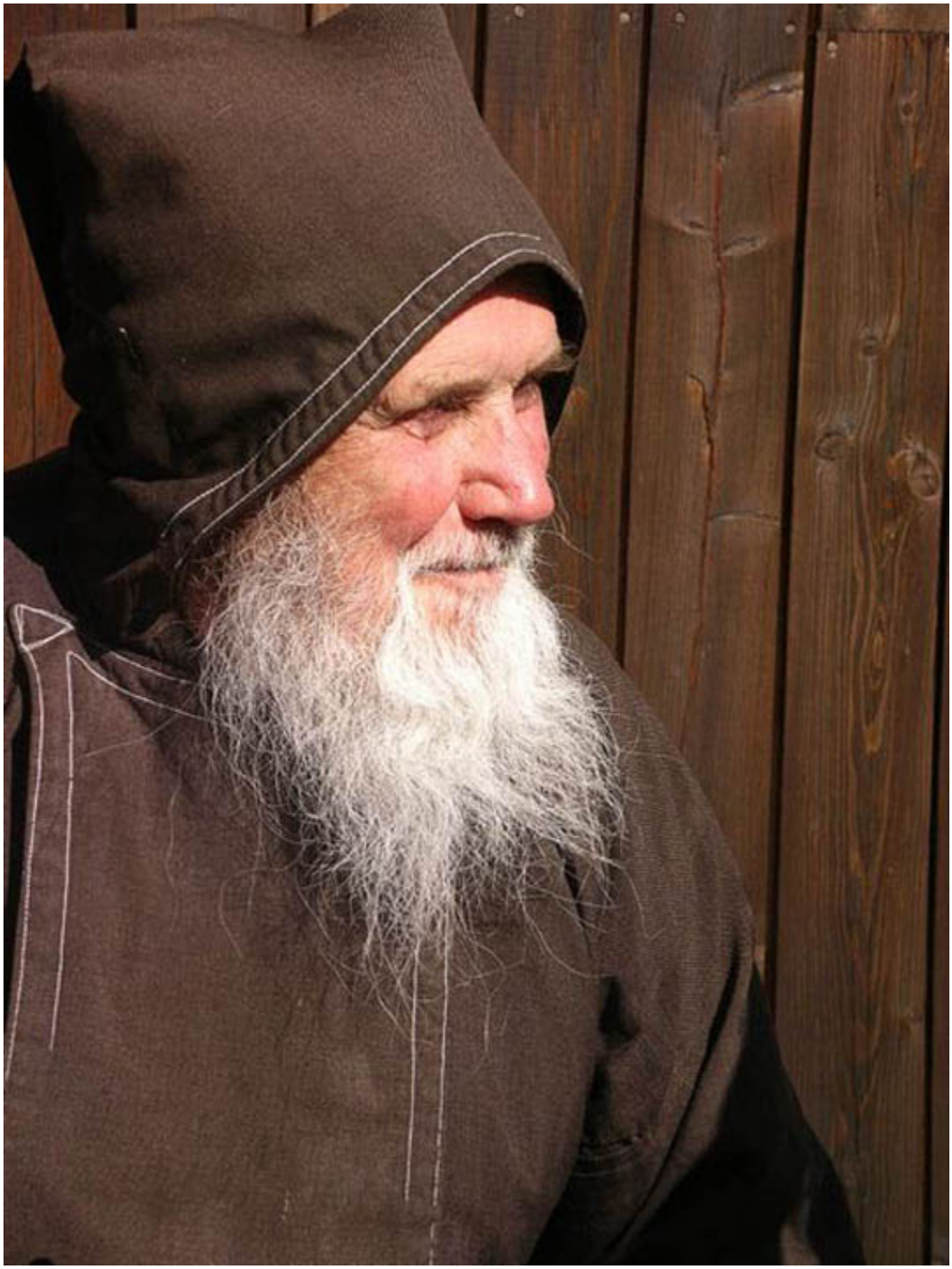
ci co o zmarłych jeszcze pamiętają,

> by przyozdobić barwnymi lampkami.



Nie wstydźmy się być

wśród ludzi...



Ojciec Stanisław

Romuald Mieczkowski

Dokładnie nie pamiętam, kiedy poznałem o. Stanisława – Stanislovasa (Algirdas Mykolas Dobrovolskis). Słyszałem o nim wiele pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy zaczęto coraz głośniej mówić o niepodległości Litwy. Spotkałem go w Datnowie na początku lat dziewięćdziesiątych. Charyzmatyczny mnich odnawiał wtedy tu swój klasztor, ale do końca życia pozostał jego nielicznym przedstawicielem – na Litwie jest około dziesięciu kapucynów, głównie w Petraszunach… Dom Generalny Zakonu mieści się w Krakowie.

Zaskoczyła mnie podczas pierwszego spotkania w Datnowie bogata biblioteka, znajdująca się w pokoju pośród ruin pomieszczenia, które odbudowywał. Rozmowę ciągle ktoś nam przerywał. Co rusz, pozostawałem sam. Przeglądałem więc bogate, ale też dość przypadkowe zbiory książek. Kiedy wreszcie mogliśmy porozmawiać, zastał mnie z XVIII-wieczną księgą:

– Interesuje to Pana? To proszę sobie wziąć, kiedyś pan mi ją odda, przy okazji. Mnie to już niepotrzebne, ale może będzie potrzebne dla innych. A zresztą proszę to zabrać na zawsze, widzę – zrobi pan z niej użytek.

Nie chciałem księgi, więc przez pewien czas starał się namówić

mnie do jej wzięcia.

A potem opowiadał o swoim życiu podczas katorgi sowieckiej – w kopalniach węgla w Incie i Workucie. Robił to zupełnie inaczej niż słyszałem podobne opowieści z ust innych zesłańców – mówił bez śladu męczeństwa, bez wskazywania na winnych, bez wołania o pomstę, ciągle żartując. Żałował swych oprawców, mówił, że za ich dusze każdego dnia się modli. W końcu zanucił pieśń rosyjską o słowikach.

– *I pojut wsiu nocz' sołow'ji*… Nie zaśpiewa Pan ze mną razem? Wy, młodzi tego nie znacie! A śpiewanie pieśni bardzo pomaga. Śpiewałem to w łagrach, a i teraz to pomaga.

Potem niejednokrotnie słyszałem, jak śpiewa o. Stanisław. Również inne pieśni, uwielbiał rosyjskie. Najbardziej lubił *Wieczernij zwon,* który ciągnął zazwyczaj o zapadającym zmroku. Głos miał nie za mocny, ciepły i nastrojowy.

Po tej pieśni najczęściej szedł spać, o 20. O północy wstawał, szedł do kościoła, gdzie odmawiał brewiarz… Wstawał zawsze o 4 rano…

Na Daleką Północ, za Koło Podbiegunowe trafił w 1948 roku. Jako „wróg ustroju socjalistycznego" dostał dziesięć lat. Zwolniony w 1956, krótko cieszył się wolnością. Został

wywieziony ponownie, by dokończyć wyroku, polegającego na morderczej pracy w tychże kopalniach. Po powrocie w 1957 pracował w różnych parafiach, chętnie podróżował po Żmudzi z posługą duszpasterską, pomagając innym księżom, przyjaźnie wszędzie witany z racji swego subtelnego usposobienia. Nie było łatwo – bywał przesłuchiwany, ciągle zastraszany.

O. Stanisław rozmawiał ze mną po polsku. Urodzony w Radwiliszkach, w rodzinie – jak powiadał – spolszczonej, z językiem polskim zetknął się już we wczesnym dzieciństwie. Ciągle obecny był on w ich domu. Matka pochodziła z Datnowa, zmarła, gdy miał półtora roku. Ojciec pochodził z Kiejdan, obydwoje – z zubożałej szlachty. Rodzice, a potem i macocha – „na 95 procent" uważali się za Polaków, jak określił po latach. Po polsku rozmawiano przy posiłkach. Za używanie litewskiego nawet karcono dzieci. W szkole doznał olśnienia, przełomu w swej świadomości: jest przecież Litwinem! Od czwartej klasy zaczął mówić po litewsku. A potem doszło do harmonii lingwistycznej – mówił z przyjemnością po polsku, lubił… rosyjski, znał języki zachodnie.

– Znajomość języków otwiera przed tobą świat. Pomaga jak śpiewanie. I patrzenie też pomaga, patrzenie w dal. To leczy. Leczy duszę też patrzenie na piękne zakątki przyrody – mówił przy ostatnim naszym spotkaniu.

Kiedy zapytałem kiedyś, w jaki sposób ojciec uzdrawia licznie tu przybywających, o czym krąży fama po całej Litwie, kapucyn się zaśmiał:

– A czy ja kogoś uzdrawiam? Ja nigdy nie pytam, kim są przybywający, jeśli sami nie chcą o tym powiedzieć. Ja nie daję im żadnych recept, nie pouczam. Piłeś – to jak chcesz, pij dalej! Możesz jednak spróbować tego nie robić, przekonać się, czy tak nie będzie lepiej. Jeśli chcesz – zostań tu, bez żadnych zobowiązań. Bądź cierpliwy i popatrz na zieleń drzew, błękit nieba, posłuchaj, jak cudnie śpiewają ptaki, popatrz na świat stworzony przez Boga. Jeśli chcesz, pomóż mi przy prowadzeniu gospodarstwa, przygotuj choćby drwa, pomóż przy remoncie kościoła. Łóżko zawsze się znajdzie, strawa też…

Potem się dowiadywał, że byli u niego niepospolici ludzie – znani artyści ze swoimi problemami, dziennikarze i pisarze, mężowie stanu z telewizji i z pierwszych stron gazet, jak też najpospolitsi alkoholicy i narkomani, łobuzy, złodzieje i naciągacze. I wielu z nich rzeczywiście wyleczyło się ze swych nałogów i ułomności, przebywając u o. Stanisława! Jak chociażby jeden Amerykanin: kiedy tu został, siadał z początku na ganeczku i pociągał sobie milczkiem whisky, a potem raptem przestał.

– Czy to klimat sprawił? – zastanawiał się zakonnik.

Na dobre to wszystkim wyszło: Amerykanin nie należał do biednych, a po rzuceniu picia stał się podobno milionerem, więc przysyłał z wdzięczności pieniądze. Przydały się przy odbudowie kościoła, w pomocy najbiedniejszym, w prowadzeniu pracy społecznej, która tutaj się rozwinęła, głównie z dziećmi z pobliskich okolic.

Czy pomógł? Pomóc mógł tylko Pan Bóg…

Po pobycie u o. Stanisława ludzi poszukujących pomocy, pozostały konkretne ślady. Miejscowość była czysta i zadbana – schludne ogrodzenia, piękny most na rzeczce, przebywający pozostawili po sobie pięknie rzeźbione drewniane krzyże i kapliczki…

Żaden człowiek nie jest sędzią dla drugiego człowieka – mawiał, podkreślając, iż wszyscy bywamy ułomni i słabi. Ubolewał, że wydajemy pochopne sądy o innych, że szczególnie politycy często bywają sędziami innych, grzeszą pychą. Ludziom trzeba wierzyć – uważał, dlatego nie używał kłódek, niczego nie zamykał na klucz. I o dziwo, niczego mu tak naprawdę nie ukradziono. Jednego razu narkoman wyniósł kielich kościelny, ale potem go zwrócił…

Kiedy z nim rozmawiałem, moje niepokoje koił jego spokojny głos. Parę razy miałem zamiar wszystko rzucić i pojechać, pośród

nocy, do o. Stanisława. Zanocować na żelaznym łóżku, przypominającym dawne czasy, w pokoiku obok, zimą patrzeć na ogień w piecu, a latem leczyć wzrok wschodem słońca i jego zachodem za daleki, widoczny w promieniu 60 kilometrów w tych stronach horyzont. Pomagać mu w czymkolwiek, co potrafię, a jednocześnie prowadzić rozmowy z zakonnikiem. Ale sprawy bardzo przyziemne, obowiązki których stajemy się jakże często zakładnikami, nie pozwoliły mi na to, czego dzisiaj żałuję. Ale byłem tu wielokrotnie, przy różnych okazjach i z bardzo różnymi ludźmi.



W 2000 roku, jeszcze w Datnowie, w którym przebywał około dziesięciu lat, zawitaliśmy do o. Stanisława całym autokarem,

podczas VII Międzynarodowych Spotkań Poetyckich „Maj nad Wilią", które przebiegały pod hasłem „U schyłku Wieku, u progu Tysiąclecia". Wtedy to ten skromny człowiek, kapłan o niezwykłej mądrości, w sposób prosty wyjaśnił poetom istotę tolerancji, ekumeniczność misji literackiej w dobie licznych zagrożeń, jakie niesie transformacja ustrojowa i kulturowa. Z jakim zapałem opowiadał o swej parafii, położonej przecież w niezwykłym miejscu – w dolinie Niewiaży, miłoszowskiej Issy! W czasach sowieckich wiara mogła pozostawać silna, zaś w warunkach demokracji znacznie się zachwiać. Człowiek nie musi zapominać o Dekalogu, tylko się nim ma kierować – przekonywał wtedy.

Pamiętne było spotkanie w czerwcu 2003 roku. W ramach międzynarodowej konferencji, którą zorganizował Vytautas Toleikis, prezes Fundacji Oświecenia Litwy, a poświęconej problemom mniejszości narodowych w krajach, należących do dawnego Imperium Sowieckiego, zawitaliśmy do Kiejdan, a stamtąd do o. Stanisława, który na własną prośbę powrócił do swej parafii w Paberže. Jak zwykle, przyjął gości bardzo serdecznie i z humorem. Mówił o wielkiej witalności miejscowych ludzi, stwierdził, że przeżyli oni różne władze i ustroje, więc przeżyją „i Unię Europejską", o której to wówczas tak wiele mówiono. Wstrzemięźliwy wobec wydawania sądów w tym zakresie, wierzył, że ci ludzie godnie się odnajdą w nowej sytuacji społecznej i ekonomicznej, zachowają wiarę i swe tradycje, instytucję rodziny.

– Litwa istnieje nie od wczoraj, nie od czasu działania chrześcijańskich demokratów czy innych partii – stwierdził.

W pewnym momencie, a mówił po litewsku i na przemian po rosyjsku, uważnie patrząc na zebranych, przeszedł raptem na język polski. Wyjaśnił zebranym, że w ten sposób chciał powitać, „Polaka, którego dobrze zna", czyli mnie.

Podczas tego pobytu byliśmy świadkami, jak się modlił. Stał w pełnym ciszy zmroku w swym wiejskim kościółku. W pewnym momencie słońce oświetliło jego postać, od siwizny długiej brody stał się przejrzyście jasny – wyglądał na proroka…. Chciałem mu zrobić zdjęcie, byłoby unikalne, ale zabrakło mi odwagi, żeby mu przeszkodzić.

W Paberže i okolicach o. Stanisław niósł posługę kapłańską około 40 lat, od roku 1966. W kościele Nawiedzenia Matki Boskiej. Jest to kościół drewniany, odbudowany po spaleniu się poprzedniego w roku 1899. Tamten kościół pamiętał uczestników Powstania Styczniowego, które w tych stronach było wielkim zrywem patriotycznym. Do klasztoru wstąpił w 1936 roku w Płungianach, gdzie odbył nowicjat. Potem, przeniesiony do Klasztoru Kapucynów w Szawlach, oddawał się studiom z zakresu filozofii i nauk humanistycznych. W 1944 skończył studia w Seminarium Duchownym w Kownie i został wyświęcony na księdza. Pracował w wielu parafiach na Żmudzi, po powrocie z łagru wędrował – z

parafii do parafii. W Paberže dostała się mu jedna z najuboższych na całej Litwie – możliwe dlatego, żeby nie rozwinął tu żadnej „działalności antysowieckiej”.

– Nigdy nie działałem politycznie. W czasach sowieckich mówiłem, żeby ludzie kochali swoje ojczyste strony, sumiennie pracowali, byli dobrzy jeden dla drugiego. Zapewne źle zostałem zrozumiany przez tych, którzy dokonywali wywózek – mawiał.

Była tu bieda, ale wiara pozwoliła czynić cuda. Wierzący przyjeżdżali z dość odległych okolic, by posłuchać o. Stanisława. Komuniści tu brali śluby, chrzcili swoje dzieci. A kiedy powiały wiatry wolności, nie mógł nadążyć z chrzcinami, bo musiał dokonywać tysiące chrztów, również dorosłych, którzy w tamtych czasach odeszli od wiary. Zdarzało się, że niektórzy okoliczni księża nie byli zadowoleni z tego, zazdrościli mu takiej popularności.

Dziś Paberže liczy cztery chaty. Zostali tu tylko staruszkowie.

– To są święci ludzie – mówił. – Proszę spojrzeć, ile pracują! Sami nic nie mają, a nigdy nie narzekają. Ich życie jest proste i prawe. A miejscowa katechetka, która cały swój czas poświęca dzieciom! Ile takich ludzi na Litwie, w Polsce i na świecie!

Ostatni raz go widziałem 1 czerwca 2004 roku. Wybraliśmy się

wtedy, jak to i wcześniej bywało, w polsko-litewskim składzie, by porozmawiać o tym, co w życiu ważne.

– Powiem szczerze: kiedy byłem młody, wydawało się, że tylko kobiety bywają piękne. Potem zaczynałem zauważać coraz więcej pięknych rzeczy. Najważniejsze, żeby piękne było dobrym, bo tylko wtedy przeciwstawia się złu. Człowiek bywa jak dziecko – szybciej uczy się złego, nierzadko atrakcyjne przyjmując szaty – i wielką sztuką jest znaleźć w sobie siły, by żyć inaczej. Czy każdy je ma, jak je wydobyć z siebie? – zastanawiamy się.

– Czy jest piekło? – pada pytanie.

O. Stanisław przez chwilę milczy. A potem mówi.

– Piekło to absolutna samotność. Nic straszniejszego już być nie może. Dlatego nie wstydźmy się jak najwięcej być pośród ludzi, cieszyć ze szczęścia, którego czasami nie zauważamy, wobec którego bywamy obojętni lub małostkowi. Wtedy przyjdzie radość. A radość to harmonia. Radość nie bywa samotna, powstaje w dobrych związkach między ludźmi. Człowiek żyje po to, by czynić dobro, doskonalić się w imię szczęścia. Żeby przez siebie udoskonalać świat.

O. Stanisław miał wiele pasji. Największa z nich to poezja Rainera Marii Rilkego. Jest wielkim znawcą jego twórczości.

Przekładał jego wiersze za Sowietów, chętnie czytał dla swych gości jego utwory, które – uważa – są „brewiarzem dla inteligenta”.

Pięknie jest mieć własne modlitwy – uważał. A raz mi powiedział:

– Poetom to dobrze, mogą sami stworzyć sobie modlitwę. To wielkie szczęście stosować taką modlitwę. Powinna się ona powtarzać, jak mantra, by się skoncentrować na jednym punkcie. Mantra jest też najlepsza na smutek. Dobrze się modlić strzeliście i szczerze.

W ciągu lat kapucyn zgromadził wielki zbiór ornatów, wyrobów liturgicznych. Ponadto czego tylko nie posiadał – znalazły się tu krzyże, fragmenty ogrodzeń, latarnie, stare narzędzia pracy. Zanoszono i zwożono mu setki, jeśli nie tysiące dzwoneczków – ceramicznych, mosiężnych, żelaznych. Tak samo kluczy do zamków, które już nie istnieją, a więc są w gruncie rzeczy bezużyteczne. Gdy ktoś mówił, że to piękne muzeum regionalne, prostował:

– To nie jest muzeum, to schronisko starych rzeczy, które – dzięki innym ludziom – mnie odnalazły. „Przyjdzie do ciebie rzecz ukochana jak narzeczona” – cytuje Rilkego o. Stanisław.



Ojciec Stanisław z dziećmi.

Zachwycali się zbiorami przybyli, którzy z całej Litwy odbywali tu swoiste pielgrzymki. Najbardziej cieszyły one dzieci, które stale tu były obecne, całymi grupami! Kapucyn miał możliwości przenocowania i usadowienia przy stołach „na trzydzieści talerzy”…

– Co dziecko może zapamiętać po pobycie tutaj? Wiary uczy się stopniowo i umacnia ją całe życie, natomiast tu przynajmniej zwróci uwagę na dzwoneczki i klucze… A od tego i rozmowę można zacząć!

Był znany – pisano o nim w książkach, kręcono filmy, ale nie przywiązywał do tego wagi, pozostawał skromny. W tym roku, pod koniec maja, byliśmy z poetami z różnych krajów w

Datnowie, Kiejdanach i Szetejniach. Bardzo chciałem zajechać do kapucyna, ale zrezygnowałem z tego pomysłu – wiedziałem, że czuje się nie najlepiej. 23 czerwca 2005 roku, o. Stanisław OFM Cap. zmarł.

Utwór krzepnie w palcach, krzepnie w sercu…

Rozmowa z Rafałem Blechaczem, zwycięzcą Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina i laureatem nagrody Gilmore Artist.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.

Bożena U. Zaremba

Co definiuje Pana jako artystę, wygranie Konkursu Chopinowskiego, nagroda Gilmore Artist, a może jeszcze coś innego?

Rafał Blechacz

– Generalnie można powiedzieć, że artystę definiują przede wszystkim jego interpretacje, a moja przygoda z muzyką i proces budowania interpretacji zaczęły się dużo wcześniej przed Konkursem Chopinowskim. Zacząłem od muzyki Jana Sebastiana Bacha i innych kompozytorów, potem rzeczywiście przyszedł

czas na muzykę Fryderyka Chopina. Oczywiście nie byłoby Konkursu Chopinowskiego, gdyby nie wcześniejsze konkursy, na początku polskie, potem międzynarodowe. Wygranie Konkursu Chopinowskiego było przełomowe, jeżeli chodzi o tworzenie kariery międzynarodowej, bo mogłem pokazywać moje interpretacje coraz szerszej publiczności, w prestiżowych salach koncertowych i na festiwalach, między innymi właśnie w Stanach Zjednoczonych. Moje interpretacje przemówiły i zostały docenione przez nagrodę Gilmore.

Czy uważa się Pan za artystycznego spadkobiercę Kristiana Zimermana, który był przed Panem ostaniem polskim zwycięzcą Konkursu Chopinowskiego?

– To jest dość ryzykowne stwierdzenie, dlatego, że każdy artysta ma inną osobowość, podlega innym inspiracjom i jest innym człowiekiem. Należymy na pewno do grona zwycięzców Konkursu Chopinowskiego, ale każdy z nas ma inną drogę.

Ale ma Pan z nim cały czas kontakt?

– Tak, rzeczywiście. Ten kontakt był szczególnie ważny po Konkursie Chopinowskim w 2005 roku, kiedy Krystian Zimerman przysłał mi bardzo piękny list gratulacyjny, w którym też oferował swoją pomoc. To był trudny okres dla mnie, bo wygranie konkursu stworzyło wiele nowych sytuacji, z którymi

wcześniej nie miałem styczności. Doświadczenie Krystiana Zimermana i szereg rozmów, które przeprowadziliśmy były bardzo pomocne przy pokierowaniu mojej drogi pokonkursowej w dobrym kierunku. Przykładem może być dobór odpowiedniej agencji artystycznej.

Czy po tych 13 latach, które minęły, zmieniło się Pana podejście do muzyki Chopina?

– Tak, zdecydowanie, chociaż nie są to może jakieś wielkie ani kontrowersyjne zmiany. Myślę, że jestem teraz bardziej swobodny w pokazywaniu pewnych pomysłów interpretacyjnych, czy jeżeli chodzi o dobór tempa. Przykładem może być kształtowanie tempa rubato w mazurkach. Myślę, że poza całym rozwojem artystycznym i osobowościowym wpływ miało także prezentowanie repertuaru w różnych salach koncertowych, w innej akustyce, na różnych fortepianach, przed różną publicznością, która zawsze bierze czynny udział w budowaniu interpretacji. Dany utwór jakby bardziej „wrasta” w osobowość artysty i człowiek bardziej się uosabia z pewnymi ideami danego utworu. To jest bardzo piękne, bo kiedy się na przykład odkłada dany utwór (i tutaj nie mówię tylko o muzyce Chopina) i powraca do niego po roku czy po kilku latach, to w pewnym rodzaju odkrywa się ten utwór na nowo i patrzy przez pryzmat doświadczenia koncertowego i granie utworów innych kompozytorów.

Nagrał Pan kilka płyt z utworami Chopina, między innymi preludia, mazurki i polonezy, także koncerty. Jakie wyzwania stawia przed pianistą każda z tych form?

– Mazurki, polonezy, a także trzecie, ostatnie części koncertów to są formy inspirowane charakterystycznym rysem polskiej ludowości. Oczywiście są to stylizacje określonych tańców, niemniej jednak duch typowy dla polskich tańców ludowych jest jak najbardziej tam obecny i słyszalny. Dlatego przy interpretacji mazurków i polonezów ważne jest wejście w klimat i duch określonego tańca, w jego specyfikę. Ważny jest też właściwy dobór tempa i innych środków wykonawczych. Często obserwuje się, zwłaszcza na konkursach, że np. mazurek niektórzy traktują jak walc. To też jest taniec w metrum trójmiarowym, ale rozumienie tego metrum jest inne i trzeba mieć tego świadomość, kiedy zaczyna się pracę nad danym utworem. Natomiast co do innych form, jak nokturny, scherza czy ballady to tutaj niezwykle ważną rolę odgrywa przekaz emocji i wyobraźni. Istnieje też coś takiego, jak styl Chopinowski i jako zwycięzca Konkursu Chopinowskiego czuję się w obowiązku, żeby ten styl pielęgnować i przekazywać w sposób właściwy.

Przywiązuje Pan też dużo wagi do kolorystyki.

– Tak, szukanie ciekawych kolorów, ciekawych barw, żeby pełniej oddać charakter danego utworu, dobranie odpowiedniego

dźwięku do określonej frazy – to są bardzo istotne elementy wykonawstwa muzycznego. Interpretacja staje się wtedy ciekawsza i bardziej przyciąga słuchacza. Muszę powiedzieć, że kolorystykę dźwiękową bardzo rozwinęła we mnie muzyka Claude Debussy'ego oraz innych kompozytorów okresu Impresjonizmu.

W zeszłym roku nagrał Pan dla odmiany płytę z utworami mistrza mistrzów, czyli J. S. Bacha dla Deutsche Grammophon. To Pańska pierwsza płyta z jego utworami. Czy to powrót do korzeni?

– W pewnym sensie, tak. Grałem dużo muzyki Bacha od samego początku nauki gry na fortepianie. Byłem też bardzo zainteresowany muzyką organową, uwielbiałem chodzić do kościoła, żeby jej posłuchać, nawet próbowałem też sam grać. Do dzisiaj, kiedy mam wolny czas, lubię czasem pójść do kościoła i zagrać coś dla własnej przyjemności, zazwyczaj Bacha. Rozwinęło to moje myślenie polifoniczne, które dostrzegam w muzyce Chopina i innych kompozytorów. Tak więc cieszę się, że Deutsche Grammophon zaakceptowało moje pomysły i płyta mogła zaistnieć na rynku.

Ma Pan wyłączny kontrakt z tą wytwórnią. Może nam Pan przybliżyć tę współpracę?

– W zeszłym roku podpisałem nowy kontrakt – przedłużenie długofalowej współpracy na nowe projekty nagraniowe. Zawsze przygotowuję utwory, które mnie fascynują i które według mnie będę dobrze interpretował. Tylko wtedy ma to sens i jest wartościowe. Także biorę pod uwagę utwory, które prezentuję na koncertach, bo ja przede wszystkim myślę o koncertach, a kiedy po określonym sezonie artystycznym pojawia się myśl, żeby któryś z tych utworów zarejestrować, to informuję Deutsche Grammophon i rozmawiam z producentem. Następuje dyskusja na temat programu, czy to jest dobry moment, czy może poczekać, bo na przykład akurat inny artysta w tym czasie nagrał podobny repertuar. Jak dochodzimy do porozumienia wtedy proces jest już stosunkowo szybki. Nie ma przy tym jakiś określonych limitów czasowych.

Czy ta wolność wynika z Pana statusu jako artysty, czy jest to kwestia ogólnego kierunku działania tej wytwórni?

– Współpracując z wieloma artystami Deutsche Grammophon generalnie dąży do tego, żeby artysta czuł się dobrze z tym, co robi, a więc tak, jak obserwuję ich poczynania, to nie widzę nacisku na artystów. Czasami robią jedynie, zresztą bardzo trafne sugestie – na przykład po Konkursie Chopinowskim sugerowano, żeby wydać płytę w niezbyt długim terminie, żeby publiczność nie była zawiedziona. Deutsche Grammophon świetnie zna prawa rynku muzyki poważnej, ale stawia przede

wszystkim na jakość artystyczną. Ja osobiście trafiłem na bardzo dobrych producentów, którzy są pasjonatami muzyki poważnej, a mają przy tym dużą wiedzę na temat repertuaru i nie muszę ich przekonywać do swoich pomysłów.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.

Płyta z utworami Bacha jest wyważona, artykulacja czysta i klarowna. Czy to według Pana klucz do interpretacji Bacha?

– W pewnym sensie, tak, a osiąga się to m.in. poprzez oszczędną pedalizację. Dość długo szukałem odpowiedniego fortepianu do tego nagrania. Nie mogłem się zdecydować i w końcu wybrałem dwa instrumenty. Niektóre utwory nagrywałem na jednym, inne na drugim, ale oba fortepiany charakteryzowały się krótkim, jasnym dźwiękiem, troszeczkę zbliżonym do klawesynu. Na ile to

było możliwe wykorzystałem też naturalne wartości nowoczesnego Steinwaya przy całkowitym oddaniu szacunku dla tego, co Bach napisał w nutach. Chciałem, żeby ten barokowy a zarazem unikalny styl Bacha został jak najwierniej oddany i zachowany.

Czyli zapis nutowy jest podstawą i punktem wyjścia. Co następuje potem?

– Przede wszystkim daję sobie dużo czasu na bycie z utworem, na „wrośnięcie" się w jego idee. Utwór wtedy krzepnie w palcach, krzepnie w sercu, fraza zaczyna być bardziej moja i ta wypowiedź artystyczna, która emanuje z określonego utworu staje się moją wypowiedzią. Dużą rolę odgrywa też intuicja artystyczna, chociaż trudno powiedzieć, dlaczego pewne pomysły interpretacyjne wydają się być dobre. To się po prostu odczuwa i wie. Oczywiście ta intuicja jest zasilana przez wiedzę teoretyczną, także na temat samego kompozytora. Punktem wyjścia jest jednak sam tekst. Istnieje także coś, co jest niezapisane, to jest ta przestrzeń między dźwiękami, gdzie ma się większą swobodę. Ale ważna jest całkowita kontrola zapisu nutowego, bo gdy tą przestrzeń potraktujemy zbyt dowolnie, może dojść do błędu interpretacyjnego, i to, co powinno pozostań nienaruszone zostaje zburzone.

Czy łatwo jest wyczuć ten moment, kiedy własna

interpretacja może przyćmić założenia kompozytora?

– Myślę, że tak, że jeżeli styl danego kompozytora jest pianiście bliski to artysta wyczuwa jak daleko może się posunąć. Jest jeszcze jedna ciekawa sprawa mianowicie magia chwili danego koncertu. Zdarzyło mi się, że miałem w zamysłach zaplanowaną jakąś interpretację, a wykonie podążyło w innym kierunku, albo na przykład polifoniczne potraktowanie jakiejś faktury zrodziło się dopiero na koncercie. Później zastanawiałem się co to się stało i próbowałem to odtworzyć w pamięci, żeby powtórzyć na innym koncercie. Czasami się to udawało, ale są też takie momenty, które są akceptowalne tylko w danej jedynej chwili. Każdy koncert jest właściwie inny, nie tylko dlatego, że gramy w innej sali koncertowej, na innym fortepianie, dla innej publiczności, ale jest coś takiego, co jest unikalne i charakterystyczne tylko dla danego koncertu. Nigdy więc nie wiadomo jak ostatecznie dana interpretacja będzie brzmiała i to jest chyba najpiękniejsze w tym zawodzie.

Czy wgłębienie się w muzykę Bacha wzbogaciło Pańskie interpretacje utworów Chopina?

– Tak, jak najbardziej. Myślenie fakturalne, polifoniczne było bardzo pomocne, np. przy odczytaniu Poloneza Fantazji As-dur, Op. 61, także późniejszych mazurków czy nokturnów. Takie myślenie wielogłosowością prowadzi do tego, że do każdego

głosu, do każdej linii melodycznej szuka się innego koloru.

Porozmawiajmy o Pana studiach doktoranckich na wydziale filozofii Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Czy należy się już zwracać do Pana per Dr. Blechacz?

– Nie, jeszcze nie. [*śmiech*]. Nie miałem jeszcze ostatniego egzaminu, tzn. obrony pracy doktorskiej i czekam na wyznaczenie terminu. A filozofią zainteresowałem się głębiej już w szkole średniej, a kiedy po Konkursie Chopinowskim minęło kilka lat i kiedy kalendarz koncertowy i nagraniowy był już bardziej uporządkowany, pomyślałem, że można by tą moją wiedzę filozoficzną bardziej uporządkować i usankcjonować. Ta przygoda z filozofią była świetna, to znaczy ona cały czas trwa, bo jest to bardzo rozległa dziedzina i co chwilę pojawiają się też nowe publikacje na te tematy, które mnie najbardziej interesują, tj. metafizyka, estetyka i filozofia muzyki. Moja praca doktorska traktuje o interpretacji dzieła muzycznego w kontekście nurtu fenomenologicznego. Główną pracą filozoficzną, z której czerpię jest dzieło Romana Ingardena *O tożsamości dzieła muzycznego*, ale też inne publikacje z zakresu filozofii muzyki. Pierwsza część jest teoretyczna i dotyczy logiki dzieła muzycznego. Druga podkreśla wartości w danym przedmiocie artystycznym, takie jak estetyczne, etyczne i metafizyczne, a więc tutaj odniesienia do muzyki Bacha były jak najbardziej pomocne, też do muzyki

Fryderyka Chopina. Później przeżycie estetyczne, czyli koncert publiczny. Dzieło wieńczą wnioski, które wynikają z mojego obcowania z dziełem sztuki, na przykład kwestie interpretacji i jej granic.

Czy wiąże się to w jakiś konkretny sposób z Pana działalnością artystyczną, czy jest to wyłącznie zabawa intelektualna?

– Jak najbardziej jest to też zabawa intelektualna, ale oczywiście ta praca wzbogaca moje rozumienie i patrzenie na muzykę. Też na kwestię przeżycia muzycznego, czyli koncertu. Praca Ingardena była bardzo pomocna, na przykład jego spostrzeżenie, że publiczność bierze czynny udział w budowaniu interpretacji, że istnieje coś takiego jak emocja wstępna, czyli reakcja odbiorcy na pierwsze dźwięki koncertu, co determinuje odbiór całego koncertu.

Odnoszę wrażenie, że jest Pan osobą o bardzo silnym kręgosłupie moralnym. Nie znosi Pan kłamstwa, braku osobistej kultury czy szacunku dla innych, a kiedy spotyka Pan się z arogancją czy wręcz wrogością odpowiada Pan dyplomacją i uprzejmością. Czy to Pana filozofia życiowa?

– „Filozofia życiowa” to są może duże słowa, ale kiedy człowiek ma czyste sumienie, czysty umysł i czyste serce, to przenosi się

to na jego działanie jako artysty – interpretacja jest wtedy autentyczna i prawdziwa. A publiczność momentalnie wyczuwa, kiedy dochodzi do jakiegoś emocjonalnego fałszu.

Mówi się o Panu, że ceni Pan sobie prywatność, stroni od blichtru wielkiego świata. Podczas trwania Konkursu Chopinowskiego prawie całkowicie Pan odgrodził się od konkursowego zgiełku. Czy to według Pana najbardziej efektywna metoda na twórczą atmosferę dla artysty?

– Ta strategia podczas konkursu nie była specjalnie zaplanowana. Czułem po prostu, co będzie w danej chwili najlepsze. Nie należę do artystów, którzy podczas trwania konkursu lubią konfrontować swoje interpretacje z innymi wykonaniami. Ja wolę skupić się na swoim programie. Rzeczywiście przyjeżdżałem do Warszawy tylko na określony etap, a potem wracałem do domu, gdzie mogłem się skupić, wyciszyć, poćwiczyć i odpocząć. Później nie było to oczywiście możliwe, bo media były zainteresowane moją osobą i trzeba było udzielać wywiadów i brać udział w konferencjach prasowych. Ale to było dla mnie całkowicie naturalne – nasz współczesny świat wymaga promocji, bo bez tego nasza sztuka nie docierałaby do ludzi, a przecież takie jest nasze zadanie, żeby dzielić się pięknem z drugim człowiekiem.

_____

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta (www.chopinatlanta.org). Koncert w Atlancie odbędzie się 15 kwietnia w Atlanta Symphony Orchestra Hall. Kalendarz tournée artysty po Stanach Zjednoczony i Kanadzie na stronie wytwórni Deutsche Grammophon:

https://www.deutschegrammophon.com/us/-artist/blechacz/ontour

---

Muzeum im. Bolesława

Orlińskiego w Kanadzie.

Muzeum i Archiwum im. Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego w Domu Seniora Wawel Villa przy 880 Clarkson Road S. Mississauga, Ontario, L5J 4N4 Canada.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Henryk Radecki

Muzeum i Archiwum im. Bolesława Orlińskiego zostało otwarte 24 lutego 2002 r. Znalazły się nim pamiątki i spuścizna po słynnym „Ojcu polskiego lotnictwa” oraz jego kolegach i

przyjaciołach.

Płk. pilota Bolesława Orlińskiego rozsławił pierwszy w historii przelot z Warszawy do Japonii w 1926 r. Za ten niezmiernie trudny i bardzo niebezpieczny wyczyn otrzymał najwyższe odznaczenia od Cesarza Japonii jak i też od Prezydentów Francji i Polski.

Po jego śmierci w lutym 1992 r. koledzy i przyjaciele z lat Walk Powietrznych o Wielką Brytanię *(the Battle of Britain)* w 1941 r., tacy jak Stanisław Skalski, Janusz Żurakowski, Władysław Potocki i wielu innych zadecydowali uczcić pamięć ich przyjaciela i kolegi założeniem Muzeum jego imienia. Muzeum zostało oficjalnie otwarte w siedzibie Wawel Villa, gdzie jest czynne do dziś, pozostając pod opieką pierwszego i do tej pory głównego kuratora, Jerzego Kowalczyka.



Wejście do siedziby Domu Seniora Wawel Villa w Mississaudze, gdzie mieści się Muzeum im. Bolesława Orlińskiego.

Pierwsze zbiory pamiątek ograniczały się do polskiego lotnictwa, ale szybko doszły inne przedstawiające wszystkie rodzaje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dary Polonii miejscowej i innych skupisk polonijnych w okolicach torontońskiej metropolii. Po stosunkowo niedługim czasie Muzeum mogło urządzać wystawy eksponatów nie tylko lotnictwa, ale też Wojska Polskiego, Marynarki i nawet Brygady Spadochronowej. W maju 2012 r. Muzeum wzbogaciło się o zbiory z nieczynnego *Polonia Museum,* aktywnego przez parę lat przy Polskiej Placówce Kanadyjskiego Legionu 418 w St. Catharines, Ontario.

W 2016 r. powstał dodatkowy dział – „Pokój Andersa”, przedstawiający działalność Wojskowych Szkół Junackich w Związku Sowieckim i na Środkowym Wschodzie w latach 1941-1947. Zbiory tej sekcji muzealnej przedstawiają wzory

mundurów kadeckich, junackich, młodszych ochotniczek i młodego lotnika. Między innymi są tam składy podręczników szkolnych, wydawnictw z Jerozolimy w latach 1943 i później, ręcznie sporządzane skrypty, odznaki szkolne i albumy z oryginalnymi zdjęciami z tamtych lat. W toku publikacji jest obszerna Historia Wojskowych Szkół Junackich w latach 1941-1947 autorstwa jednego z kustoszy/woluntariuszy.



Pokój Andersa w Muzeum im. Bolesława Orlińskiego, z mundurami kadeta, lotnika, młodszej ochotniczki i junaka.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Biblioteka przy Muzeum z ponad tysiącem pozycji prac historycznych, dokumentalnych i pamiętnikarskich, jak też obszerne i ważne składy dokumentacji archiwalnej, mogą służyć badaczom, naukowcom i młodzieży w pracach akademickich.

W maju 2016 r. w rocznicę Bitwy pod Monte Cassino, grono woluntariuszy/pracowników zorganizowało Akademię z programem wystaw, przemówień, śpiewów i wyróżnień jeszcze żyjących uczestników tej Bitwy. Pod egidą Muzeum została też wydana dwujęzyczna, ilustrowana broszura.

Niektórzy kuratorzy/woluntariusze są głęboko zaangażowani w

historię 22-tysięcznej Polskiej Ochotniczej Armii, która ćwiczyła się w Niagara-on-the-Lake w Ontario, a potem walczyła we Francji w 1918 r. i jako część Armii Hallera w latach 1919-1920 i brała udział w walkach o granice Polski. W Muzeum miasteczka Niagara-on-the-Lake ci kuratorzy/woluntariusze zorganizowali bogatą wystawę pamiątek po tych żołnierzach, jak i zdjęć czy plansz z życia obozowego. Wielu z kuratorów/wolontariuszy bierze udział w specjalnych uroczystościach na polskim wojskowym cmentarzyku w tym miasteczku.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w

Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

Woluntariusze/pracownicy organizują wystawy zbiorów muzealnych na spotkaniach z młodzieżą Szkół Polskich w okolicach metropolii torontońskiej czy też w St. Catharines, Ontario. Organizowane są również wystawy Muzeum na dorocznych polonijnych Festynach takich jak „Festiwal ulicy Roncesvalles” w Toronto czy „Dzień Polski” w Mississaudze, Ontario.

Stała ekspozycja w Muzeum Orlińskiego przedstawia zbiory wielu ważnych i niezwykłych pamiątek, mundurów i wysokich odznaczeń wojskowych, oryginalnych obrazów i albumów z fotografiami z czasów II wojny światowej. W składach można znaleźć oryginalne dokumenty, legitymacje, świadectwa, dyplomy i inne bezcenne archiwalia.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.



Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Mississaudze.

Muzeum Orlińskiego bez zastrzeżeń może twierdzić, że nie istnieją tak bogate zbiory pamiątek czy też materiałów historycznych dotyczących Wojska Polskiego z okresu II wojny światowej przy jakiejkolwiek grupie lub organizacji polonijnej w Kanadzie. Zapraszamy wszystkich chętnych do zwiedzania Muzeum Płk. Pilota Bolesława Orlińskiego.

Galeria



Dowódca 305 dywizjonu bombowego, bohater przelotu Warszawa—Tokio—Warszawa, podpułkownik Bolesław Orliński, ze swym nawigatorem Lemieszonkiem w kabinie samolotu „mosquito"



Order „Wschodzącego Słońca” oraz Dyplom od Cesarza Japonii w uznaniu zasług dla pilota, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński przed PZL P.6, Cleveland 1931, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.



Płk. Bolesław Orliński, fot. Muzeum im. B. Orlińskiego w Mississaudze.

Linki:

https://roundme.com/tour/146038/view/369478/

http://tinyurl.com/mywj3nr

https://goo.gl/photos/bMJBXQtq9k9wf2Xv6